









Michał Ajanka - Jasołki

# Grajek z Jastrówic

i inne nowelki.





MICHAŁ ASANKA-JAPOŁŁ.

GRAJEK  
Z JASNOWIC.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

Nakładem księgarni Teofila Firuta we Frysztaćie.

<http://rcin.org.pl>



F. 4011

---

Odbito czcionkami Ludowej Drukarni we Fryszacie.

---

4011

<http://rcin.org.pl>



GRAJEK Z JASNOWIC.

(ŚLĄSKA LEGENDA.)

Tegoż autora :

Gdzież nasze słońce. (Poezje.)

Uśmiech Sokratesa. (Nowele.)

Genjusz H. Sienkiewicza.

Mową włoskich poetów. (Antologja XVI.  
przełożonych autorów włoskich od XVI.  
do XX. w.)

Złoty okręt. (Romans.)

Trembowelska gloria. (Romans histo-  
ryczny.)

W druku: Jerozolima Tassa. (Przekład  
oryginalny.)

## Istebna-Jasnowice.

Jasnowice są wioską na rubieżach śląskopolskich, u rozstajnych dróg granicznych, między Polską a Czechosłowacją. W dolinie, zamkniętej dokoła beskidzkimi górami śląskimi, a że jasne nad nimi i częstsze słońce, aniżeli mrok i mgły, stąd zwa się od XIII wieku... Jasnowicami, a też dlatego, że stamtąd sami znahorzy — jasnowidze pochodzili, a również słynęły na Śląsku, że ci tam grajków-gajdoszy naliczył zawsze kilku, którzy szli w świat, by grać ludziom piosnki smutne, góralskie... Jeden tylko został, a tak mu drogą Ojczyzna, że nie chciał nic słyszeć o Ameryce, o Saksach, czy innych krainach, dokąd z Jasnowic ludzie sobie jeździli, bo ziemi mało, a ludzi było jak w Polsce, dużo, niby piasku nad urwistym brzegiem Oleczki, czy Olzy, które to rzeczki i strumykiem niejednym zasiły Jasnowice.

I gdyby wszyscy w Jasnowicach zostali, wypiliby nieraz wodę do cna, ze źródeł, a zjedliby owce wszystkie, żeby im chyba smreki i sosny na Młodej Górze pozostały, których przecież człowiek nie strawi, a tylko siekiera. Słynęły Jasnowice z budowli, jakich już nie spotka się na Śląsku, a tam po dziś dzień stuletnie, caluteńkie z drzewa domy, niby świątynie, omszałe i takie pochylone, a przecież jeszcze zdrowe, jak i ludzie wiekowi z Jasnowic, gazdowie czy zbójniki, dzisiaj siedzący

spokojnie i marzący sobie pod jasnym błękitem, ilekroć im zagra grajek nad grajkami, Jur (Jerzy) Kobielus, rosły i piękny, a urodzony chyba na skrzypka, bo czaruje wszystkich grą czystą, melodyjną... Sam sobie instrument sporządził..

Chadzał całymi latami dniem i nocą po lasach, pukał w drzewa, nadsłuchując, czy... grają... Że ludzi myśleli, iż ten Kobielus zmysły postradał, lub zgoła zczarował, ale, kiedy do księdza przyszli, który też sam układał piosenki, rzekł im:

— Kobielus, ani zmysłów nie postradał, ani z czartem się kuma, a tylko szuka drzewa, boć wiecie, że grajek i sam sobie instrument robi, a i dla drugih grajków.

Uspokoily te słowa wszystkich, a nawet ludzie zaczęli inaczej spoglądać i patrzeć na Kobielusa, z pewną czcią i ciekawością, zaś nikt się nie śmiał, gdy on pukał w drzewo, obchodził je i coś szeptał, śpiewał dokoła niego... przeszkadzać mu w tem!

Aż tu raz przywiózł przed dom pniaka, czy też drzewo, zmachawszy się dobrze, lecz wcale nie porzucił na uboczu, ale je wniósł do domu i tam nad niem tydzień siedział. W niedzielę widzieli go ludzie w kościele, modlił się na chórze, a jak organy zagrały, uciekł corychlej, pędząc do domu...

I znów go przez cały tydzień nikt nie zobaczył... Siedział w domu, a gdy czasem ten i ów, przechodząc podle domu grajka, zaglądnał przez otwarte okna, pozdrowił go, lecz nie rozmawiał, bo Kobielus tylko pochylony, gładził

strugiem deseczki, to je znów ciosał z grubsza, układał, a czynił, jakby samemu Panu Bogu, miał zrobić skrzypce, by w darze, że go tej rzadkiej sztuki nauczył... I wszyscy się dziwili, jak mógł wysiedzieć, jedzący suchy chleb i popijający wodą, a nie palił nawet fajki, a tylko rzezał deszczułki, składał i kleił, a każdą przeglądając, niby drogocenny kamień, gdy go chce osadzić ślifierz w koronie królewskiej...

Bo grajkowi zdało się, iż podobnego instrumentu nie zrobił nikt, a on, dzięki zaparciu się i woli, jaką mają Ślązanie, lud twardy, nawykły do czynów, a już zawzięty, gdy chodzi o pracę którą ukochał sercem i duszą...

Kto widział tego grajka, kiedy sam sobie sporządzał instrument, pewnie przyznał, że był tak wielkim artystą, jak lutnicy średniowieczni, czy włoscy skrzypkowie, wkładający w instrument i grę lata pracy i życia swego...

Wtem wiosna rozkwociła świat...

W Jasnowicach, kto żyw, pracował na ugornym skrawku kamienistym, nie pytając się, ni troszcząc o Kobielusza... Już się gotowali do wypędzania bydła na hale, a czekali wszyscy, żeby ta nieba łaskawsze, użyczyły słońca i stałej pogody...

Trawy już spore, rosły i pachły, niczem niewidome ręce, czy słońca promienie, takie zielska i zioła suszone... Kwiatków rozsiały mióstwo, że się dziwili ludzie, kto ich tyle im zesłał w Jasnowicach... Ano któż, jak nie Matka Boska, której Zwiastowanie budzi tę lilijkę leśną, czy trawkę Marji, a krasí łączki

i ostępy leśne pierwszymi kwiatkami, operlo-  
nymi rosą i ustrojonymi w barwy czyste, a tak  
wzorzyste czynią z ziemi posłanie, po której —  
jak lud śląski wierzy — przejdzie własnymi  
Stopy Panienska Przenajświętsza.

To też nikt tych kwiatków nie zerwie, aże  
do Zielonych Świąt. Dopiero po nich obrywają  
dziewczęta śląskie i stroją nimi warkocze, czy  
głowy w wianki z kwiatów Marji, aby nie-  
działą złożyć je potem w kościele, lub dokoła  
na cmentarzu, a wówczas to cała świątynia  
pańska przemienia się w kwiecisty chram, prze-  
piękny... I długo nie więdną te kwiaty, a tyl-  
ko zdobią i cieszą oczy ludzkie, a już mówią  
ludzie: — Im dłużej nie więdną, tem rok bę-  
dzie obfitszy w plony... — Jak ongi Słowia-  
nie, niosąc Świętowidowi w darze pierwsze  
pęki i paki, ścieląc nimi dziedziniec świątyni...  
Stary dzwonnik układa cały tydzień w desenie  
przeróżne kwiaty, a pomagają w tej pracy pa-  
sterki, pastuszkowie, pędząc bydło rankiem  
i wieczorem na jasnownicze łąki...

Było to w zwyczaju — jedynie w Jasno-  
wicach, witania wiosny, muzyką i śpiewem...  
W niedzielę majową, gdy się nabożeństwo już  
skończyło, szli jasnownicy na polanę pod górę,  
aby tam rozpalić ognisko z badyli, zgrabionych  
na polach, a leżących stosami wzdłuż drogi...  
Paliwo przygotowali w sobotę! I w tym dniu  
wróżono sobie, a która z dziewcząt znalazła  
rzadszy kwiat, przepowiadali jej, że wyjdzie  
zamaż, latem, po zbiórce napewno... Ale śpie-  
wy przy ogniu i muzyka dopiero rozochociły

wszystkich, a już spodziewali się zawsze w Jasnowicach, że w tym dniu zdarzy się coś niebywałego... Jeżeli nie na ziemi jasnowickiej, to na... niebie! Zobaczą gwiazdę, kometa, albo księżyc w tarczy pierścieniowej, lub zgoła coś się stanie... Wierzyli w to, jak w Neapolu wierzą ludzie w cud św. Januarego, w Rzymie w wodę świętą, a Sepulawedzie w obraz św. Marcina, który raz do roku cudownie uzdrawia, ilekroć się mu ktoś szczerze ofiaruje. W Jasnowicach, że w dniu święta wiosny, stanie się, jeżeli nie cud prawdziwy, o jakim głoszą w świecie święte księgi, to napewno cud „jasnowicki“.

I już ludzie się zeszli, zniesione paliwo, ałożone, by w stos ofiarny, okryły wiechy, jedliny i zielska świeżego... Dziewcząt zeszło się sporo, chłopaków też, a starzy, najstarsi, gawędzić, wlekli stare nogi, niby te kule, czy podpórki, bo ich już i nosić nie chciały...

A wszyscy patrzyli na dom Kobielusza, bo się czegoś stamtąd mimowoli spodziewali... W tym dniu i on zagra może, boć chyba już zrobił sobie skrzypce. Widzieli nawet niektórzy ten instrument. Ciekawi, boć w Jasnowicach ludzie tak kochają muzykę, jak gdzieindziej tańce, albo inne rozrywki niedzielne, zaś te, wiosennego święta, jako raz do roku, wszyscy w tradycji umiłowania czczą i lgną do niej, łącząc z miłością muzyki swej, niebywale muzycznej natury!

Niebo jasne i przepojone czystym lazurem, zdało się marzyć o wiosnie wieków, jaka cią-

gle nad Jasnowicami rokrocznie, budzi nowe życie z tajników ziemi i jej piękna czarownego. Góry, zdarłszy mgielne szaty, okryły się szmaragdem, a mieniącym się setnymi odcieniami i złocieniami jeszcze od skrzących blasków zachodu. Wynurzył się świat wiosenny z białej topieli śnieżnej, po której śladu nie pozostało, chyba to, że wyczyszczony do perlistej jaśni, lśnił, jakby naszyjnik na królewnej wiośnie, tej najbogatszej Pani świata w przepych i drogocenne skarby przyrody, pokazane w Jasnowicach ku radości ludzi, którzy tak czczą tę Królowę-Wiosnę.

Gwarno było dokoła stosu...

Już każdy miał, coby opowiedzieć drugiemu, nie skąpiąc szczerości i hojności: więc o owcach, o zasiewach, o weselach, czy też i smutkach, które wiosną zdają się łżejszymi, aniżeli zima, czy jesienią... Gwarze tej nie byłoby końca, gdyby nie buchnął ogień snopami płomieni zrazu drgający, ażeby się przemienił w ognistą górę, dymiącą dokoła.

Śpiewali więc chłopcy i dziewczęta: „Ogniu w płomieniu wiosennych żagiew, spalże nam zimę na popiół.“ — A potem wtórowali i starzy: „O! wiosna, radosna zwiastunka życia!“

Po tem powitaniu, nucili starcom: „Gdzie się nam podziały nasze młode lata...“ A starzy, też jarzy, odwdzięczyli się, gdy basem przejęli: „młodość płochliwa, starość rozwagą jest nam przewagą“. — A kiedy ucichły pieśni, zagrzmiały tony... Ktoś grał! Lecz mrok nie dozwolił odsłonić oblicza grajka... A grał tak potężnie,



że wszyscy nawet szeptać się bali, dech stłumili, a rozwarłszy usta, chłonęli z powietrzem czystym i wonnem, muzykę tych akordów wiosennych...

Nikt nie mówił, że to gra Kobielusz, choć wszyscy o tem wiedzieli, poprostu z muzyką grajka przejęli jego imię, jego duszę nawet, skoro tak słuchali tej muzyki, popadłszy w natchnioną ciszę, rozumiejąc jej treść, która im opowiadała teraz dopiero tonami o tem wielkiem święcie wiosny. Kobielusz zaczął od silnych akordów, zwiastujących odrazu w Jasnowicach słoneczną wieść, że wiosna, wiosna na śląskiej ziemi, u jej dzisiaj rubieży, ale odrazu pełna i tej mocy, działającej wszechwładnie, by wszędzie budzić życia w słońcu... Potem echa leśne, zawodzących pasterzy, czy trębą długich, zwołujących gazdów, ilekroć zbóje napadną na hale i chcą wyróżnać owieczki, a sery, sereczki, zjeść i wynieść do grot, gdzie się ukrywają ich skarby bezcenne... Więc i lament i straszną bójkę, wygrał im Kobielusz, aby jednak przejąć odrazu skądinąd melodję: wesela, gdy to jada na gody do oberży na Rogowcu, lub do Marekwicy, strojni, weselni i pełni radości družbowie, druchny i starzy gazdowie. A po weselu, cicha pieśń, na strunach w drgnieniach, że ledwie słyszalnych, to znana modlitwa wieczorna, śląska... I mimo woli pouklękali dokoła już ostatkami tłącego stosu obecni, odkrywszy głowy, złożywszy ręce do modlitwy. Lecz nikt jej nie mówił, tylko słuchał, jak ją za wszystkich zawodził na stru-

nach Kobielusz... Stał podle swej chałupy, zwrócony twarzą ku góróm i halóm, grał, grał. ...Wtórowało mu echo, jakby akompanjament orkiestry wiosennych grajków, ukrytych wśród gór i łąk i hal, a tak szarmonizowanych swą muzyką ze skrzypcami grajka, jakby ich zestroiła naprawdę wielka mistrzyni tonów: wiosna...

Po tej modlitwie, wznosił radosne dziękczynienie skoczne, grajek, dobywając, jak na początku, akordów, a teraz przejęli wszyscy śląską pieśń, górale z Jasnowic, aby chórem uderzyć donośnie, że całe Jasnowice zmieniły się w muzykę ludzkiej pieśni i tej grajka, na cześć wiosny. Długo pamiętają i wspominają o tem święcie — jedynem w Jasnowicach — święcie wiosny, uroczystem.

---

PRZYSZLI DO MNIE  
AOJDOWIE I MINSTREŁLE  
ŚLĄSCY...

(Rzecz o pieśni ludowej śląskiej.)



Zaszumiał bór odwieczny swą pieśń, zrazu szeptem, by później trząść gałęziami drzew, niby w dniu najstraszniejszej zawieruchy... Chyliły się tedy drzewa, jak i ludzie, gdy śpiewają w kościele suplikacje, że aż drżą mury świątyni, a cała, rozśpiewana, zda się bliższa niebieskiego chramu... Tak ci i bór, ta wielka świątynia Boga-Człowieka, zdała się wraz z pieśnią — szumem nieść glorię Bożą, a drzew śpiewanie daleko, aby aż na dolinie słyszeł, jak chwali Słońce, Niebo i Ziemię, tysiące drzew w leśnej puszczy... Cieszyli się ludzie, że bór chwali Pana nad Pany, a kiedy skończy tę pieśń, oni zaczną swoją. Czekali końca tej pieśni, czekali, aby zacząć swoją. Lecz u nich śpiewają wybrani, zwani pieśniarzami, przy twórcze instrumentów, jakie sami wymyślili, aby złączyć pieśń z muzyką, aby dać wielostrunny hymn dusz i serc, a poprzez tony ze swoich lutni rodzimych... I szli starzy gazdowie, a ojcowie, aby rozpocząć swemi pieśniami te gody, niby weselne, a właściwie na cześć słonecznego lata, które witają tutaj na Śląsku od wieków taką pieśnią wspólną. Młodzi minstrelle wraz z instrumentami, aby po pieśni starców rozpocząć inne, taneczne i dać początek wesołości całonocnej... Ucichł bór w słonecznej pogodzie, że ledwie szeptał najstarszych drzew echa, aby dać możliwość ludziom do wtóru, do tej pieśni nad pieśniami, jaką zwykli poczynać w południe na leśnych polanach.

Stary, stuletni aoid, wzniosłszy ręce ku słońcu, zdał się modlić do Dawcy Światła, a w tem dokoła stojący starcy, chórem zawodzili pieśń odwieczną, na tej ziemi śląskiej:

O! słońce mocy, trwania i pociechy,  
Oświeć nam serca, oświeć nasze strzechy,  
Niech twoje blaski mocą się stawają,  
Niechaj nam zwycięstwo w życiu wygrają...  
O! słońce jasne, o słońce wszechstworzenia,  
Dla ciebie modły, pieśni i wierzenia — —  
Patrz na nas okiem twojej wszechradości,  
Byśmy tak żyli w spokoju, w miłości. — —

Po tej pieśni przeszli starcy ku młodym, którzy stroili instrumenty, by zagrać teraz bez śpiewu, a jeno melodjami uczcić słońce. I uderzyli w struny gęśli, tych instrumentów śląskich, oryginalnych, jakich już w Polsce niema dawno, a tutaj sami sobie wyrabiają. Więc zrazu ciche tony, naśladowujące szum drzew młodych, potem coraz potężniejsze, coraz to silniejsze akordy, któremi czczą słońce, by wtórem za pieśnią starców... Słońce, które lśniło w stu strunach śląskich basetli, skrzypiec, czy gęśli tak wszystkich szarmonizowanych w tej wzniosłej muzyce na cześć Słońca.

Widać wtem, jak korowód strojnych dziewcząt, krasawic czeka, by je zaproszono na gody słońca. Każda umie po kilkanaście pieśni, by je zanucić w tańcu na polanie... W tym dniu powitania słońca na śląskiej ziemi... A potem uczta wspólna; więc znoszą sery z szałasów na tacach drewnianych, kołacze na stożkowato ułożonych deskach, okrytych jedliną i kwiec'iem,

w skopcach drewnianych z rzeźbionymi rączkami napój ożywczy. a w donicach, również z drzewa, niby wazach greckich, z malowanymi kwiatami dookoła, owoce suszone, jakich nie brakło na Śląsku nigdy, gdy słońce darzyło pogodą i jasnością swą bogatą, by wzbogacić sady owocem stokrotnym... Ucztę kończono w radości i miłości niebywalej, bo nikomu nie zabrakło niczego, o czym marzył sobie, że spożyje na tej biesiadzie słonecznej.

A kiedy już się nasycili, kiedy każdy mógł powiedzieć, iż darów nie poskąpiła mu ziemia, wówczas młodź intonowała taneczne melodje... Więc o różnych dziewicach piosnki, znane uchu każdej krasawicy, która w lot przejmuje melodję, aby wraz z tanecznikiem ją skończyć w podskokach i rozkosznych skłonach czy obejmowaniach przy tym tańcu jeszcze w blaskach słońca, a na jego cześć... Taniec słoneczny uchodził za rodzaj świątecznych tańców, które się zachowały jedynie na Śląsku, jako obrzęd w chwili powitania słońca, obrzęd nieodzowny, ale też i bogaty w tej rytmice ruchów, w tej skali barwnej, jaką oddawały pary taneczne, niby obrazy żywe, na cześć słońca... w płaskach jego, łącząc sztukę taneczną z muzyką i śpiewem w harmonijną całość uroczystą, wzorzystą!

Wtem ozwał się głos: „Złotogłowca szukać wam trzeba...” Bo w dniu tym — według legendy — wypełnił złotogłowiec, wąż szczęścia, który komu się ukazał, darzył go zdrowiem, mieniem i spełnieniem marzeń, jak gdzie-

indziej legendarny kwiat paproci... Na Śląsku, u źródeł Wisły, złotogłowiec tem szczęściem w dniu święta Słońca... Więc młodzi minstrelle uderzają cicho w swe instrumenty, by tonami-prośbami błagać słońce o wskazanie drogi, kędy żyje i pokaże się w tym dniu szczęśliwym oczom złotogłowiec.

A kto go zobaczy jeszcze przed zachodem, ten — mówią — że w tym roku dostąpi szczęścia, o jakimby napróżno marzył lata całe...

Zostają starcy, gdy młódź pędzi za... złotogłowcem... A kiedy miną godziny, kiedy mrok zapada, odezwą się rogi, by wszyscy wracali. Niosą echa daleko tę pieśń nawoływań, monotonna: — Chodźcie wraz, ku nam w las, bo już czas, by zgasł las — zbiegają się, nuże opowiadać o złotogłowcu, witać szczęśliwca, nieść go na ramionach, by ze świtem być we wsi, gdzie zostały matki z dziećmi i zgoła niedołęzni staruszkowie...

Tak opowiadają ludowe pieśni o słonecznej biesiadzie i święcie na Śląsku... Słyszałem je z ust aoidów i minstrelli śląskich, żyjących...



# SZCZĘŚCIE ZŁOTOGŁOWCA

(Śląska opowieść ludowa.)

Bratniej Duszy, Ludwika Konarzewskiego, w dani szczerzej.



W prastarych czasach czczono węża na Śląsku, podobnie, jak na Litwie; nie był to tylko zwyczajny wąż domowy, pełzający sobie po chacie, piący mleko, a potem, gdy czas mu nadszedł końca żywota, robiono z tłuszczu „tłustego wężyka“ — świeczkę, aby blaskiem odpędzała złe duchy, zaś dobre spraszała na gody..., ale rzadki wąż o złotej głowie, lśniący, niosący szczęście, ktoby go znalazł — czy w lesie, czy na drodze, kiedy go szukano skwapliwie w noc świętojańską, gdy poraz pierwszy wypełznął ze swoich kryjówek... Niósł szczęście młodemu, bo starzy, mówić zwykli: „Złotogłowiec siwej głowie pomóc nie może, ale jasnej, jako sam obfituje w skarby, zwiedzie tam młodego i mu je pokaże, by przez nie doznał szczęścia“. — — — Toteż młodzi nie mogli się doczekać świętojańskiej nocy. A już jakież ból ich imal, gdy w tę noc deszcz padał, zaś złotogłowiec się nie pokazał i trzeba było rok czekać, zanim znów nadzieja się zbliżyła...

A tu na złość w tym roku ten, lub ów, nie mógł pójść, aby poszukać złotogłowca, gdyż go choroba trafiła, jako że z wiosną ludzie na Śląsku chorują i do lata, do Świętojańskiej nocy czekają, by słońcem się leczyć...

I żył w małej wiosce młody chłopak, który zapalał w marzeniu chęcią zobaczenia złotogłowca, kiedy o nim posłyszał z ust starej, ubogiej matki, która, mając aż trzynastoro dzieci, żyła w nędzy, nie zaznawszy nigdy...

szczęścia! A ten jej syn, urodziwy, ciągle mawiał: — Mamulko, ja ci szczęście znajdę, będziemy mieć skarby, złota, bo mi się śniło, że widział taką jaskinię, a z niej nabrał garściami złotych pieniędzy...

Matka w tej chwili sobie przypomniała, że jej mówiono... Ano, o skarbach i złotogłowcu. Tedy głośno syna główkę, po miękkich jego włosach, dała mu spory kubek mleka, a kiedy się ułożył, a inne dzieci też spały, zaś stary mąż w lesie, nie przyszedł, więc czekać trzeba było, jeła mu opowiadać o złotogłowcu... A on już nie wątpił, że we śnie widział tę jaskinię węża i tylko go zobaczy, pójdzie jego śladem, jako że złotogłowiec zostawia ślad swej drogi wyraźny, zabierze skarby, uszczęśliwi matkę, ojca i braci, jak i siostry, a i krewni nie będą się źle mieli, bo tych skarbów starczy dla wszystkich... Zasnął więc w takiej radości, upojeniu, że już dygotał szczęściem... A tu do lata daleko, gdyż dopiero jesień przez wichry dawała znać o sobie, a długa zima jeszcze da się we znaki, jeszcze każe czekać na słońko...

Ale młodym czas ucieka szybciej, aniżeli staremu, a już nie zazna nigdy tej nudy młody, jakiej ulega starzec... Zresztą marzenia skracają mu snadniej i łatwiej życiową dołę, choćby w zimowej porze, gdy na wsi śląskiej przednowek trapił ludzi, każąc im myśleć w ciężkiej udręce o chlebie, o jego kawałku... Młody Janko, syn owej biednej matki, a i biedniejszego ojca, gdy zimą nęc w lesie nie

zarobił, pocieszał rodziców, żeby tylko doczekali Świętojańskiej Nocy...

Matka dawała się opłatać marzeniami, gdy ojciec mruknął lub czasem go i zganił, aby czytał pobożne modlitwy ze starych ksiązek, a nie myślał o złotogłowcu, jaki chyba w głowach i myślach pustych się mieści, bo on i stary, nie widział go, a też nie słyszał o nim od drugich... Ale, że był góralem, jakoś i jego wzięła chęć dowiedzenia się prawdy, czy też ma syna wiarę podzielić, lub może ją zmienić w inną, boć przecież istnieje w tej, lub innej formie, szczęście dla biednych ludzi... Ano, gdzieżby tu pójść się i dowiedzieć? Do księdza bał się... Stary proboszcz, zwany „farošem“ — niechętnie mówił z góralami, oprócz rozmów krótkich w sprawach duszpasterskich, twierdząc, że dość dla nich kazań prawi, tedy mają z jego ust za dużo słowa bożego... Nauczyciela nie mieli, a ten z dalekiej wsi, ze szkoły — jakaś się, że go dzieci ledwie rozumiały, zaś starzy mawiali: — Niech ta uczy piisać, a już mówić, one się same nauczą... W gospodzie, możeby znalazł kogo, ale tam nie miał wstępu, bo biedak, więc chyba raz w miesiąc letni, albo wiosenny, kiedy zarobił, a i to żał mu było marnować grosza, boć trzynaścioro dziecię wołało o jedzenie, gdy na nie nigdy nie starczyło, aby je wyżywić, jak się patrzy...

Ale... znał przecież starą babę, podobno wiekowych lat, która już napewno o złotogłowcu wiedziała...<sup>\*</sup> Więc do niej pójdzie! Mieszka hen za górami, ale cóż to go obchodzi.

górala, który nie zna krótkiej drogi na świecie..  
Więc pomyślał: — „Pójdę, aby małego Jana,  
albo odwieść, albo może i w ten sposób po-  
zyskać skarby... Młody, więc może je łatwiej  
znajdzie! A już ma głowę, żeby mógł się za  
nie uczyć i zostać, choćby... faroszem. A i do-  
brzeby było, gdyby był gajowym, lub gdzie  
w mieście, Cieszynie, panem, więc i człekby  
się pożywił, wypchnął dzieci inne i tak może  
dał im lepszy chleb, aniżeli ten, jaki jedzą...  
pożal się Boże, jakby zboża ludziom brakło,  
gdy Pan Bóg dał tyle ziemi, że wszyscy po-  
winni się najeść do syta.“ — — — Babę zwa-  
no: „Kusa“, gdzieniegdzie: „Kosa“. Nikt nie wie-  
dział, dlaczego takie miała przezwisko... Była  
sucha, a już oczy, jakby djabelskie, chociaż nie  
stroniła od ludzi, ale ich często gęsto nacho-  
dziła, by im wróżyć, czy opowiadać... Bo też  
gadać i śpiewać umiała, jakby młoda dziewczka,  
a już i siłę po temu miała...

Jak zaczęło nieco zimową porą słońeczko  
przygrzywać, co w górach na Śląsku się czę-  
sto zdarza, wybrał się w pewien dzionek ja-  
śniejszy o świecie do tej baby... Szedł, nie je-  
dząc nic, bo nie miał... A tu głód zaczął go  
tak męczyć, iż postanowił, bodaj kory zjeść  
z drzewa w lesie... Więc zбочzył z drogi ku  
starym drzewom. Już miał huknąć toporem,  
gdy przed nim stanęła baba... — Chyba:  
„Kusa“, czy „Kosa“ — pomyślał! —

Śpiewała: — „Kto idzie w las, ten szuka  
nas, a my tu za nim, jak światki, wychodzimy  
za smereczki... Kto szuka nas, ma pewnie

czas...“ — Wydał mu się śpiew piękny, zdjął czapkę i chciał mówić, lecz baba go zagadnęła: — Głodnyś, więc chodź, a dam ci chleba...

Ucieszył się, nie rozważając, skąd może o tem wiedzieć, bo nadzieja chleba go uradowała niepomiernie! I szli spory kawał, ale nie czuł chłop głodu... Wtem stanęli nad źródłem. Baba krzyknie: — Napij się wody! — — — Chłop, choć zimno było, usłuchał i napił się... A ona coś szuka dokoła i niesie mu placek owsiany, jakby z pod pieca, lub ognia... Skąd, nie wiedział! Ale pomyślał: — O skarbach wie na pewno! — — —

Więc ją pyta: — A, gdzie to złotogłowiec żyje, gdzie ma skarby swoje? — — — Zaś jadł chleb, jakby istotnie chciał się na długo nim pożywić. Baba odpowie: — Ty go nie znajdziesz boś już stary, a tylko tacy, którzy młodymi są, mają oczy podwójne, jedno w ślepiach, drugie w czole, — wskazała mu palcem... — Więc ty nie szukaj, ale powiedz synowi, który młodszy od ciebie, a on znajdzie! — — — Ale góral syty chlebem, jał nastawać: — gdzie go szukać, złotogłowca?! — — —

— Syn twój wie, bo go i we śnie widział, a tyś nie miał tego szczęścia, więc i szczęścia złotogłowca nie znajdziesz...

Rzuciła mu jeszcze chlebuś jeden, a potem zniknęła, czy raczej on, łakomiąc się, jadł tak, że nie zobaczył, kiedy „Kusa“, czy „Kosa“ zniknęła... umknęła...

Teraz powie synowi: — Szukaj, bo jest złotogłowiec... Ale nie potrzebował mówić, bo i syn



bez tego wierzył, że go znajdzie, że dojdzie do skarbów i szczęście przyniesie... Tak go poła wiara, iż nie mówił o tem nikomu, a wierzył, by najzarliwszy anachoreta, czy świątobliwy pustelnik, iż znajdzie złotogłowca i szczęście, jak oni, gdy im wiara pokazuje cuda na ziemi...

Tylko żeby doczekać słonecznego, a bodaj bez deszczu dnia, w którym się złotogłowiec pokaże... I prosił w modlitwach o ten dzień, jak inni zanudzają prośbami o różne marności świata Pana Boga... Wprawdzie i on miał na myśli skarby, lecz nie dla siebie, ile dla rodziców i rodzeństwa, więc z miłości dla nich o ten dzień szczęścia prosił... A na Śląsku mówią ludzie: — Kto Pana Boga z miłości poprosi, temu da Pan Bóg, cosi...

Już drgnęła ziemia słoneczną radością, już rwał się potok, wolny od kajdan lodowych, a bór szumiał mocą nowego życia, pieśń wiosny, pieśń lata... Już starzy i młodzi witali się na polach, już w lesie uderzała siekiera, a pługi i brony lśniły w poprzek skib, na ugorzonych ziemiach śląskich...

Ej! a tuż... a noc świętojańska... Nadeszła w czystej zieleni pól i lasów, bo niebo cudne kołysało się błękitami cichej nocy, jasnej... Więc Jano szedł, szedł... jak i jego rówieśnicy drogami pól, leśnemi, aby szukać złotogłowca, a za jego śladem... skarbów i szczęścia...

— — — — —  
I wypełzał przed nim gad, w koronie złocistej, tak lśniącej bezcennymi światłami drogich



kamieni, że Jano, o mało, iż ócz nie postradał, wzroku nie utracił, nie mogąc się nadziwić, że waż tak bajecznie sypie iskrami, jakby je miał z gwiazd chyba nocy, a nie swojej, zwierzęcej... Ależ to przecie gad cudowny! O którym marzył tyle nocy... Więc i z marzeń powstaje w naszych oczach rzeczywistość... Chyba on nie śni... Chyba nie mylą go nogi zmęczone, ni pot na czole, a już myśli, jakby się stopiły w ogniu głowy jego w ten obraz pałającego żarem i skrami rzucającego złotogłowca...

Zbliżał się, ale waż coraz szybciej pełzał, coraz dalej...

On za nim, za jego śladem, bo już z dala świeciły tylko te cudowne blaski korony, te migoty, by gwiazdy jego ócz, czy ich miljona, na wężowej skórze, tak niezwykle lśniącej bogactwem tajemnem... Jano szedł, on czuł, że w tej drodze... jego i rodziny, a może i całej wsi — szczęście...

Już widzi grotę, już skarbów pełną, ale coś mu się wydaje daleko, choć tuż obok niej stoi... Czy znów się myli... Więc stąpa i idzie... w głąb, nurzając się w ciemnościach groty... Trąca skrzynie, niektóre rozwartemi wiekami, wskazują mu złoto i drogocenne kamienie...

Jak tu zabrać, byle najwięcej... A jak tu wyjść... Jeszcze złotogłowiec przy wejściu... Więc zbiera, co może i ucieka, nim zniknie złotogłowiec... A waż, czekał nań, by go może opleść i zdusić... bo długi i siłę ma, gdy Jano ją stracił... Lęk go chwyta, niby waż...

Lecz już nie złotogłowiec, ale królowna u  
wejścia wita Jana i prosi na gody weselne ..  
On strojny... Za nim jadą wozy skarbów...  
Uszczęśliwi rodzinę... wioskę całą... — — —

---

LEGENDA  
O GÓRZE BARANIEJ.



Żadna z gór nie wciela tyłu legend, co ta, której Wisłę zawdzięczamy, Barania Góra, królująca w Beskidzie śląskim, niby Giewont w Tatrach, albo Trzy Korony w Pieninach... Przystanąła sobie cicho, bez tych fanfar i głośnych, rozgłośnych ech dalekich, ale każdy ją zna w Polsce, każdy kocha, narówni z Wisłą, rzeką, a już górale wiedzą, żeby nie Barania, nie mieliby ni jednej owcy, baranka, bo tylko u stóp tej góry mogą ich wypasać bez liku, gdzie obszerne hale, a już trawy od Zielonych Świąt, po świętego Michała Archaniola, starczą, by na nich wypaść całe stada... A między niemi, trawami, ziół bezmiar, że można ich zbierać brzemiona, a leczyć bydło i ludzi nawet, kiedy zimą chorują, lub wiosną, zaiste zioła ich leczą wybornie, jakby zgoła cudowne... Znają je wszyscy juhasy, pasterze, a każdy skrzętnie zbiera, suszy, aby zanieść do domu, aby niemi leczyć potem chorych... Są też tam i jagody, grzyby, a różnych much, robaczków, czy i gadów, jak węży, jaszczurek; słowem: żyją tam na Baraniej Górze, tworząc osobliwe królestwo roślin i zwierząt... A górale je znają, odróżniają i wiedzą, że ten wąż, to jadowity, jak i grzyb trujący, a inny, choćby człeka szczyptał, nic mu nie zrobi, a zjeść mógłby go, jak rybę i teżby nie zaszkodził...

Ale nie poto chodzili ludzie na Baranią Górę, ile, aby wyszukać miejsce na szałas. Bo tam ich można było setkami budować, a zaga-

niać owiec, baranów i krówek, również stada liczne, a wszystko wyżywiła i nakarmiła Barania Góra! — — —

I jak tylko słońce cieplej grzać poczęło, śniegi zniknęły, że można było wejść w góry, niby do wsi, szli tłumnie pasterze z toporami, aby zbudować szałas. Ubijali najprzód ziemię, aby była dobrą, nie łatwą i skorą gdy deszcz leje, przepuścić wodę... A gdzieby można sobie i spocząć, rzuciwszy suchego z gałęzi posłania, nieco... Potem wbijali pale. Nakryli dobrze, uczyniwszy w środku przeziór... Ściany wyłożyli korą, a na dachu, aby wiatr nie zerwał go, nie zapomnieli nakłść kamieni, nieraz i wielkich, że ugiął się pod nimi... Dokoła ogrodzili płotem duży kawał ziemi, gdzieby można zapędzać barany, owce, krowy, a też i dla psów budy, gdzieby sobie spoczęli, kiedy „wartować“ nie trzeba, a bezpiecznie można zdrzemnąć się w budzie...

Zaroilo się od szałasów, a kiedy gotowe już były, tedy nie czekali, najdłużej do Zielonych Świątek, aby wygnąć owce, i oddać je w opiekę wiernych pasterzy... Całe gromady ludzisk odprowadzały te rzesze ku Baraniej, a i na samą górę. — — —

Szli z nimi gajdosze, aby przygrywać, a już dziewczek tyle się naszło, iż myślałbyś, że na wesela idą na Baranią Górę, a one tylko z ciekawości i rade, że mogą sobie pośpiewać, jako że drogą śpiewano i hasano, tańczono, by skrócić, czy uprzyjemnić sobie drogę... Ani jeden nie został w domu, chyba chory, lub niedołężny,

bo i baby ciężarne szły, nie bojąc się wejść na Baranią, ani też „zlecieć“ z niej, kiedy to drogi strome z powrotem, nieraz ludzi spychały, by wozy w przepaść, że lecieli na oślep, jakoś ta zawsze szczęśliwie... Zbójnicy też się radzi przypatrywali, a niejeden, zdjęty ciekawością, zmieszał się z tłumem, by zobaczyć szalasy, do których po serki, czy po owieczkę, zaglądnął nieraz, niby ten wilk w ludzkim ciele.

— — — — —

Starzy gazdowie przedtem policzyli swoje stada! Najwięcej miał zawsze Marekwica z Istebnej, albo Legierski, a ci inni, po dwadzieścia, lub dziesięć, łączyli, aby kopę, lub ze sto, oddać trzem pasterzom pod opiekę i trzem psom-kudłaczom... Szło tedy stado za stadem, białe, wełniące się, niby pasma kłębow, rozluźnionych, a przetykanych czarnemi nićmi, gdy się trafił baran tej maści, a znów krowy, niby wzory odmienniej haftowane, czyniły pewną zmianę w tej białej symfonji, a za nią ludzie i ludzie, jakby szli ze stadem na nową siedzibę, jakby się radowali słoneczną porą wspólnie z owieczkami... Śpiewy mieszały się z beczaniem i rykiem, a te ze szczekaniem psów... Kiedy weszli, muzykanci ucinali skoczne melodie i nie obeszło się bez tańca... Podziwiali gazdowie szalasy, a każdy rad, że dobry i zagroda bezpieczna, powierzał stado spokojnie... Każdy znów pasterz zapraszał na pierwszy serrek do siebie, a już obejmował gazdę wielokrotnie, przyrzekając pieczę nad owcami, sta-

dem, że tych słów mowie mógł ufać jakby modlitewnym wiernemu pasterzowi, gazda...

A i gaździnie, gospodynie, otrzymywały zapewnień litanję, nawet i dziewczkom przyrzekali pasterze, a te... obiecywały odwiedzać ich, kiedy będzie słoneczniej i cieplej. — — —

Kiedy następował odwrót ludzi ze wsi, pasterze, ustawivszy długie trąby na drażkach, dęli głośno, aby wszędzie wiedziano, iż szałasv już na Baraniej zaczęły swój czas letni...

Buchnęły i ogniska, a wśród śpiewów wracano do domów, nie żalując wcale, że odprowadzili te stada, nakarmiwszy oczy widokiem radości i wesołością wielką serca...

Rokrocznie w podobny sposób, a odwiecznie w tych stronach, święcono tradycję wypędzania stad na Baranią Górę...

— — — — — — — — —

Jednego roku zdarzył się niebywały wypadek, który okryła legenda, a Góra Wisły, od tąd „Baranią“ przezwana, nosi tę nazwę do dnia dzisiejszego, a od tego roku, pamiętnego, lubo dawno już, że i najstarsi nie spamiętali, a tylko z legend zasłyszanych, powtarzali...

Po ciężkiej zimie, a przednowku, dającym się we znaki, że ludzie i z głodu marli, pognali swe stada wraz z ludźmi pasterze... Ale każdy z nich zbiedzony, wygłodniały, że ledwie włóki nogami, boć nie miał czem się pożywić, a już blade, stracił do cna siłę, myśląc, że odzyska ją na hali, kiedy mleko, ser i czasem masło, nawet bez chleba, starczą, by odzyskać zupełnie zdrowie i siły...



I biedne psiska, jakby też doznały przednowku, szły, niby z musu, nie warcząc, ani szczekając... Gazdowie kiwali głową, a ten, lub ów, mówił: — „Aby ta nie wykradli nam owiec zbójnicy, bo pasterze i psy ich nie dopilnują latoś“ (tego roku).

Zwiedzieli się zbójnicy, że stada wielkie, ale ich ta nie pilnują silni, ale wynędzniali i słabi... A już im zawsze dokuczał widok szałasów, że tam w nich jedzą i piją, gdy oni w lasach, lub w ziemiankach, albo grotach, jak dzikie zwierzęta, niby skarby mają, ale żyją w wiecznym strachu, a już nieraz, nie mając i co do ust włożyć, bo ręce nie naniosły, a owcy, ni krowy, nie udoją, bo nie mają... Tak więc radzi „dziki Jano“, towarzyszom: — Ej! pójdźma na górę, do szałasów, zabierzmy owce, barany, a spalmy szałasy, abyśmy my tam sobie siedzieli, a nie pasterze gazdów, którzy mają już zawiele owieczek i stad rozmaitszych...

W smak poszły te słowa zbójnikom, że urządzili wyprawę, choćby w najbliższą noc... Ale ci burze takie przyszły, iż trudno było wśród ulew, a już piorunów, puszczać się na górę... Czekali, aż przestanie, aż spokojnie nocą będą mogli się wybrać, aby ubić baranów, z nimi i pasterzy, a spalić szałasy, by się tu więcej nie znalazły...

Było tych zbójników dosyć... dziesięciu roślých, oprócz dwudziestu krępych, silnych, a wśród nich „dziki Jano“, jakby ich gazda, lub komendant, że słuchali go ślepo, choćby dawał nie do spełnienia rozkazy. Jano bowiem nie

zważał na nic, nikogo, a już nie miał lęku, ani żadnej chęci, okrom zbójeckiej natury, chęci zabierania i turbowania ludzi, aby się zmierzyć, choćby ze stoma, on jeden; takim pałał animuszem zbójnika... Już czatowali na niego w dwudziestu, lecz zdołał się im obronić... Chciano go zwabić do wsi, ale nie było przyjęty, by jej uległ... Czyhano na niego, lecz jakby kot, czuciem, węchem, zdołał się przekonać, gdzie nań zasadzka i ominął ją zwycięsko. Dziki Jano, chyba w spółce z czartem, albo z siłami, jakich góral bał się instynktownie, nie umiejąc ich nazwać nawet... Wiedział, że takie istnieją i mówił o nich z drugimi. Tak też i o Janie mawiano: — „Siłę ma, o której nikt nie wie, skąd mu się taka wzięła.“ — — —

---

Kiedy się wypogodziło, kiedy obeschły drożyny, a i kora na drzewach, zbójnicy uplanowali napad niespodziewany... Najpierw nazywali suchych gałęzi, a później z toporami szli; na ich czele dziki Jano, jakby go wilki ścigały, albo setki ludzi... Szedł szybko, że mu ledwie nadażyć mogli... Psy zaczęły szczekać, ale zbójnicy tym, co wybiegli w gąszczę leśną, potrafili zatkać pyski, że już nie dawali znać o ich przybyciu... Kilkunastu niosło suche gałęzie... Po udoju pasterze, zliczywszy owieczki, barany, krowy, zapierali wrota zagród, a w szałasie rozpalali ogniska.

Pochowali się, jakby przeczuwali ten napad zbójników, z dzikim Jano na czele... Ten i ów wyglądał, ale schował się, bo coś go pchnęło

do szałasów... Jano ze swymi zmierzał ku największemu! Kiedy rzucili gałęzie, a psy zaczęły tak strasznie ujadać, iż przeciw pasterze ocknęli się... Wyszło ich pięciu, a tu przed nimi dziki Jano! Nuże ich prac począł, że legli, jakby od mieczy na wojnie... W innych szałasach już się kumało wielu ze śmiercią, bo na rozkaz Jana mordowali swobodnie... zbójnicy.

Wywlekli ogień ze szałasów, a wśród płomieni, zaczęły trwożnie beczeć owce i barany, ryk krów się mieszał i szczekanie psów...

Spędzali wszystkie do największej zagrody, gdzie palił się szałas i ogromna ilość zniesionych gałęzi, a że był i lasek w pobliżu, iskry tam niósł wicher spokojnie...

Spaliła się prawie doszczętu wielka ilość szałasów... Wtem stada, nie mogąc znieść ognia i płomieni, zaczęły walić w stronę płotów... Runęły zapory, kalecząc sporo, gdy reszta pędziła w stronę lasu, który zaczął się palić... na dobre... I tak w ogień wpadały: owca po owcy, baran po baranie, a i krowy nie gdzieindziej, jak w lesie tym szły wśród płomieni... Jałowcowe krzaki szybko wznieciły żar i ogień straszliwy... Zobaczyli to we wsi i pędzą, kto mógł w stronę góry! A zbójnicy, co się dało, uprowadzili, zniszczywszy wszystkie szałasów, a w pastwie płomieni, zginęły setki owiec i baranów... Kiedy zbiegli się ludziska, już tylko zastali same popioły i w tłacym się lesie sporo spalonych owiec, baranów, krów zwęglonych... Rozpałatane głowy i rozwalone cielska pasterzy zdradziły, że to zbójnicy dokonali napadu...

A ten pożar, jako dzieło dzikiego Jana, zniszczył szałas i dobytek gazdów...

Odtąd zwano górę Wisły, Baranią Górą, zaś ścieżkę stromą w stronę południową, dróżką dzikiego Jana, którego wkońcu schwymano i w okrutny sposób zabito...

Długo, długo nie widział tam nikt szałasu, aż po latach je znowu postawiono. — — —

---

ZBÓJNIK JURA Z KUBALONKI



Wszyscy go znali, chociaż nikt go na oczy nie widział! Tego zbójnika Jurę, mieszkającego na Kubalonce przed laty, kiedy to cała góra, zaszyta w bór dziewiczy, nie znała stopy ludzkiej, okrom zbójeckiej, śmiałej i wytrwałej... Jura sam tam mieszkał, choć nikt nie wiedział, gdzieby należało szukać jego grotty, czy szopy, szałas, lub piwnicy... A wychodził sobie w dnie pogodne; przybywał podle wiosek, czy domostw ludzkich, a już pomagał każdemu góralowi, który dziękował za tę pomoc, nie wiedząc komu dziękuje... Stąd znali go, bezimienne, a nawet nie próbowali się spytać kogo, a już jego, widząc olbrzym, jakim był Jura, tylko radzi byli, że pomógł, że niejednemu wykarczował spory kawał lasu, czy porozwalał ogromne pnie, rozpałatał je w kawałki, że ten i ów miał paliwa na całą zimę... Do gospody też zachodził. Widzieli go na własne oczy na weselu Legierskiego z Kawuloczką Jadwigą... Kufę piwa dźwignął, że aż gazdom się zamroczyło, czy to człowiek, czy to zgoła djabeł, lub zły duch... Ale przecież widzieli, jak pił, jak hulał, a że znikł potem nad ranem, nikomu nie przyszło przez myśl się spytać, kim był ten wielkolud, siłacz, a już każdy wiedział w niemem patrzeniu na drugiego, iż Jura-zbójnik był na weselu, dźwignął kufę, tańczył prawie z wszystkimi dziewczętami, a odtracił Pawła Lupieżowca, aże ten jęknął, iż dobierał

się zanadto do Zuzki Biłosównej, do której poczuł Jura sympatję i miłość okrutną...

Zuzka mieszkała z wdową matką w malutkiej chatce u granicy Małopolski, za Koniakowem. Lubiała wesela, a że była urodziwa i pełna wdzięków, łasi na nią chłopcy, patrzyli i szeptali o „zaletach“, nic że piękna, ale, żeby do niej przyjść mogli, lecz Zuzka każdemu odpowiedziała tak, że się nie ważył spytać drugim razem o to samo...

Ubierała się po śląsku; żywotki miała najbogatsze, a już wstążki, jakich nikt nie widział i w samym Jabłonkowie... Tańczyła, jakby baletnica, zaś jej urodziwa, wiotka postać czyniła silne wrażenie, że wszyscy z szacunkiem, lubo z zalotnością się do niej odnosili; oczy im wypadały z orbit, a każdy gonił ją spojrzeniami hen daleko, kiedy szła w stronę Koniakowa... Od tego wesela Legierskiego z Jadwigą Kawuloczką, Jura-zbójnik stał się... jej opiekunem.

Chociaż z Kubalonki było daleko do granicy śląskiej, kędy mieszkała tuż, tuż, Biłosówna, nie wahał się codzień tam strażować, by się Zuzce czegoś złego nie przytrafiło... Letnią porą słoneczną było łatwiej, bo można na przełaj, dróżkami skrócić sobie drogę, ale zimą, kiedy zaspły, a śnieg w dolinach ugrzązł, zaś w nim i człowiek, niby kłoda, nie mogąc się wydobyć, często zmarł sobie spokojnie, nie było podobnem, aby tak sobie przemierzać przestrzeń od Kubalonki do Koniakowa, czy na wierzchowcu, lub dobrym konikiem, jakiegoś tu z łatwością nabył u górali... Jura-zbójnik, mi-



mo to nie lękał się ani zasp, ani dolin ubielonych i zrównanych z górami, lecz szedł tąsamą drogą krótką, czatując w szopie u góry, skąd widział chatkę Biłosówny i każdego, ktoby do niej wszedł lub z niej wyszedł... I nikt stamtąd nie wyszedł, aby go Jura nie dostrzegł... Ukryty dobrze w szopie, którą zrównał śnieg niemal z ziemią, siedział w niej Jura, niby sowa wśród zarośli liścia na drzewie, drzemiąc sobie bez lęku, nie zważając na ptactwo, które bało się i śpiącej sowy, jak też i Jury... Paweł Łupieżowiec, choć kochał Zuzannę i gotów za wszelką cenę do niej pójść, gdyby nie instynktowa obawa przed zbójnikiem... Bo już raz szedł w stronę Koniakowa, gdy wtem dojrzał zdaleka olbrzymią sylwetkę! Szedł z boku, niby myśliwy, albo gajowy, lub gazda tych okolic, dumny, Jura-zbójnik... Szedł, brnąc głęboko w śniegu, omijając zwyczajne ścieżyny, pod lasem, gdzieby mógł w każdej chwili schować się przed oczyma ludzisk, których znienawidził, ukochawszy swoje ustronie w lasach, na Kubalonce.

A kiedy się znalazł w szopie, na górze nad domem Biłosówny, zamknął wrota, a z otworu-przezioru w ścianie z desek patrzył, niby ptak z klatki, a raczej on na klatkę, gdzie ukrył swojego ptaka marzeń... Biłosówna rzadko wychodziła, bo pracy było dosyć w domu. To przędła, to szyła, to skubała pierze, to znów śpiewała starej matce, łuszcząc bób i groch, sąsiadom, aby zarobić bodaj kwartę na długi przednowek w górach... Nocą ktoś się kręcił

dokoła domu, ktoś jakby szukał czegoś... Biłósówna się bała, ale nie śmiała też wymknąć się, jedynie, gdy już świtało, a wtedy nikogo, ani nawet „ducha“ nie dostrzegłbyś w pobliżu domu...

A tym „duchem“ był Jura-zbójnik, który znosił narecza polan, układając cicho z drugiej strony pod ścianą domu, aby miała czem palić, kiedy mróz dawał się we znaki i trzeba było nie gasić ognia, aby wytrzymać w chacie, do której wchodził wiatr i zimno szczelinami, by złodziej, po resztki ciepła...

Raz w niedzielę, Paweł, spotkawszy Zuzkę, przystąpił do niej, zagadnąwszy ją:

— Zuzka, czy przyjdiesz na wesele do gospody, będą grali gajdosze z Brennej?! — — —

— Przyjdę, ale nie sama... — odrzekła, uśmiechnąwszy się do junaka, który ośmielony tem spojrzeniem radosnem, dodał:

— A któż cię przyprowadzi? — czekał na odpowiedź, wlepiwszy w nią oczy, jakby chciał ukraść tajemnicę, kto ją też pokochał...

— Przyjdę z Jurą-zbójnikiem! — zaśmiała mu się w oczy.

— Nie uwierzę, aż zobaczę! — — —

— To zobaczysz!

Nie dał za wygraną i szedł z nią, towarzysząc, aż do domu. Przed drzwiami jał się żegnać, nie przestąpiwszy progę, a kiedy wracał, ujrzał — jak i dawniej, sylwetkę Jury na tle dali białych pól, na tle groniów, które schowały się w jakiś zaświat bieli, ukazując tylko we mgle szczyty zielone, granatowe, mieniające się

bajeczną poświatą, jakby księżycową, w odblaskach zachodzącego słońca...

Nie mógł się doczekać wieczoru... Ale i ten nadszedł rychlej, aniżeli się spodziewał Paweł. W rozświetlonej gospodzie tłumy grzały się przy piecu, obok szynkwasu, gdzie zapijano setne zdrowia i gwarzono sobie o wszystkim, jakby gospoda była domem dla każdego...

Paweł wsunął się, szukając oczyma Biłosównej. — Jeszcze jej nie było! Ale i Jury nie widział... Właściwie nikt nie wiedział, czy to Jura... Bo każdy myślał sobie tak jeno w duszy, nie śmiejąc nawet się snwać, czy to istotnie Jura... Również wiedzieli, że strażuje przed domem Biłosównej, że ją pokochał, ale również nikt nawet nie ważył się w skrytości i drugiemu się zwierzyć z tego... Taki postrach siał Jura! Kiedy tak rozważał tę kwestję Łupieżowiec, rozwarły się drzwi, a wtem weszła Biłosówna, z nią zaś dziewczęta z Koniakowa i kilku młodych, tak chętnych do wy-pitki i do wybitki, gdy okazja się nadarzy... Muzyka już zaczęła przygrywać to tańca...

Ten i ów schwycił dziewczynę i sunął po sali, a starzy gwarzyli sobie dalej spokojnie. Niebawem zjechali i weselni goście, a wówczas zabawa rozgorzała, jakby płomieniem, syconym radością i temperamentem podmuchów, które rozpałały serca i uczucia rozbawionych... Wszyscy czuli, że zabawa ich uskrzydla, jak człowieka gór, pełnego fantazji, kiedy tworzy życie poprzez radość i słoneczną naturę! Nikt o niczem nie myślał, jak tylko o rozkoszy, a uwagi nie zwracał, nawet na Jurę, kiedy

wszedł i w kącie zapijał spokojnie... Potem „kurzył“ fajkę, a wzrok jego, niby świeczki, lub wilcze oczy, od czasu do czasu przenikał, to tańczące pary, to znów gości weselnych...

Lupieżowiec tańczył z Biłosówną, szepcząc jej i ukazując w kącie Jurę... Lecz, kiedy się spotkał ze wzrokiem Jury, oniemiał ze strachu zgoła, a już tańczył, jakby pijany, choć nie wypił, conajwyżej dwa kieliszki... Dopiero, gdy taniec się skończył, pił i fundował chłopakom, jakby ich wzgledy dla siebie pozyskać...

Ktoś podszedł do muzykantów, rzucając im srebrny pieniądz, aby zagrali. Ucięli od ucha! Muzyka grała skocznie, a pary sunęły, jakby korowód szalonych, bo już wszyscy mocno podpici, unosili się na falach rozigranej fantazji i humoru bezgranicznej wesołości... Wesele, to wesele! Góral zna tylko zabawę bez granic, nie znając zresztą niewoli uczuć, a chyba głód czasem lub poniewierka, którą znosi bez szemrania, czując, iż kiedyś się i to skończy...

Paweł Lupieżowiec teraz obejmował raz po raz Biłosównę, a mając głowę i myśli, dobrze spowite w mrokach fantazji i płomyków naprzemian, z tej weny puharków wychylonych, nie turbował się o Jurę, aby uniknąć wzroku, nawet nie spojrzał... w jego stronę! Biłosówna się nieco bronila przed jego impetem, zachciankami, ale, że to wesele, tedy i ona nie mogła hamować, naprzekór innym, radości... Królował śmiech i radość, jakby wesele nie dwojga, ale wszystkich...

Nagle stanął Jura, a olbrzym, aż przeraził starych gazdów, siedzących w dymie, i drze-

miących potrosze, pomimo muzyki i zabawy... Wyszedł z załawy i stołów, schwycił Łupieżowca, a jakby czapkę, zmiął, potrząsając nim, a niebawem rozwarł drzwi i rzucił go daleko.. daleko, niby worek, pełny zbytnich szmat, lub całkiem zgniłych owoców... Potem wrócił, ujął Biłosównę, zatańczył z nią, a wzięwszy potem na ramiona, delikatnie jak dziecko, wyniósł ze sali, otulił potem kożuchem i poszedł z nią drogami na przełaj w stronę Kubalonki... Wszyscy osłupieli, ale nie mogli przerwać w czynnościach zbójnikowi, bo każdego miał szacunek dla siły i tej mocy olbrzyma, a już nie mającego wśród zebranych równego siłą i tą mocą w rękach, czy wogóle w tytanicznej postaci wielkoluda, syna gór i kniei, tam zamieszkałego, a wśród ludzi, intruzem będącego straszonym...

Aż ocknął się gazda Marekwica i wrzasnął:

— Czyście nie poznali Jurv-zbójnika! To on! Lećcież, bo zginie znów, a szkoda Zuzki... Już ta i Pawła ratujmy! — — —

Część wybiegła za Jurą... część, by Pawła ratować! — — —

Paweł ledwie oddychał, a był tak zmordowany, jakby go śruby lub tłoki na „pile“ zmiażdżyły; cucili go, by nieco ożył.

A ci, co za Jurą biegli, wrócili do wsi, nie mogąc z przestachu, ani pary z ust puścić... Zresztą nie kwapili się go szukać w puszczy na Kubalonce...

I nikt długo, długo, nie wiedział, już na-

prawdę i nie widział odtąd Jury... stał się legedną, jak i dawniej Ondraszek...

Śmiałkowie na Kubalonce pokazywali sobie grootę Jury... a niektórzy twierdzili, że poszedł po weselu na Węgry i tam wraz z Biłosówną dokończył żywota... Lecz nikt nie wiedział prawdy, odkąd Jura znikł z wesela, bez śladu. — — —

---

JAK TO DO GAZDY  
MAREKWICY SAM PAN JEZUS  
Z OPŁATKAMI PRZYBYŁ...

(Bożenarodzeniowa opowieść istebniańska.)

Poecie śląskiemu, ks. Grimowi  
na pamiątkę miłych dni istebniań-  
skich, w słońcu serc i myśli bratnich,  
poświęcam...





Było to przed laty, kiedy w Istebnej, ani też w Jasnowicach, lub Koniakowie, kościoła nie było... A ludzie chodzili aż do Jabłonkowa, a niektórzy jeszcze i dalej, aby się pomodlić, a już, gdy chcieli Panu Bogu coś ofiarować, nieśli do samego Cieszyna, bo im się zdawało, że prawdziwy Pan Bóg, tylko w Cieszynie ludzi przyjąć potrafi... A też i wysłuchać prośb, jakich ludziom nigdy nie zabraknie, nawet i w szczęściu, bo i wówczas czegoś brakuje, biednemu zawsze na tym padole, człowiekowi...

Ale zimą, kiedy śniegi zawałyły drogi, a ludzie nie mogli przemóc, przewyciężyć lutej pory, zrzadka kto ze starych kwapił się do Jabłonkowa, a o Cieszynie, nie było nawet mowy... Siedzieli doma, modlili się żarliwie, a śpiewali tak głośno, że ich można było usłyszeć zdaleka... Podobno dlatego, żeby ich głosy dotarły nie do nieba, bo to zadaleko, ale do Jabłonkowa i Cieszyna... Najgłośniej wyśpiewywał Kobielus; toteż mawiano: „Jak Kobielus zaśpiewa, to się Pan Bóg nie gniewa“.

Obok Kobielusza śpiewał też donośnie Kawulok, ale ten, darł się, to też wykrzyczał gardło i pomarł, a ludziska mówili, że nie dlatego, iż śpiewał, ale, że chciał Kobielusza przekrzyzczeć, a Pan Jezus nie lubi takich głosów, które wrzeszczą o łaski, ale, które Go w pokorze o nie proszą...

Księża wysyłali w czasie świątecznym, w adwencie z opłatkami kościelnych i starych dziadów, którzy łażąc od chaty do chaty, nieśli: „boski chlebuś“! „białe, anielskie kromeczki“, aby ich i ludzie w tym czasie skosztowali... I nigdzie nigdy nie zabrakło opłatków, a gdzie-niegdzie, jak z nich „świat“ ulepiły dziewczęta, zostały do drugiego roku u powały i darzyło się ludziom w Istebnej, że im w duchu zazdrościli w Koniakowie, a we Wiśle mówiono: „W Istebnej opłatek, na dobry zadatek“. — —

Witali też to w Istebnej tych dziadków z opłatkami. Dali im serków, ile tylko zechcieli, a żywili ich, jakby gości najlepszych, zaś uważał każdy za zły znak, kiedy taki dziad z opłatkami ominął jego dom i wcześniej gdzieindziej zaszedł... Legierskiemu, lubo bogaczowi, nie szczęściło się przez cały rok, gdy go minął „biały dziaduś“, a w przyszłym roku, choć mróz dokuczał tak, że ptaszyny ginęły, siedział przed domem, aby tylko zobaczyć i pierwszego do siebie zaprosić z opłatkami „dziadusia“... Mieszkał bowiem u wyгона, pod lasem, kędy wiodła droga Jabłonkowska...

Jednego roku zima się srożyła, że podobnej i najstarsi nie pamiętali... Na Kubalonce tyle było śniegu, że żaden nie ważył się z górali, aby pojechać tam po drzewo, choć powalonych smreków i sosen leżało bez liku... Na Baranią nikt się nie udawał, choć tam zimą... skarbów szukano, jakie ukryli zbójnicy... W domach, stare baby prząść nie mogły, bo, chociaż się paliło na ogniskach, ziąb doskwierał

w palce, że żadna nie mogła nijak uchwycić nitki... Zaczęli się ludzie martwić, iż żaden dziad nie przyjdzie z opłatkami, a już chłopaki zmarzłyby do cna po drodze... Myśleli: „może jutro popuści, to jeszcze przybędą!“ — Ale, gdzież tam — — Mróz, corazto większy! — —

Jeden tylko gazda, Marekwica, wierzył, że z opłatkami przyjść muszą! — — — Śpiewał, co wieczór pieśni adwentowe, a tak je nucił serdecznie, że baby płakały, zaś parobcy, nie śmieli nawet tchu wydobyć, a już nikomu nie przyszło do głowy mówić o zalotach, lub odpustach, jarmarkach, gdy gazda śpiewał, jakby Archanioł u bram Niebios samych. — — — Ten, siwy, siwiuteńki gazda, wiekowy chłop, zdrowy! — — —

A, gdy się go kto zapytał, czy przyjdzie dziad z opłatkami, mówił szczerze: „Przyjdzie napewno! choćby w samą wilję!“ — — — Wierzył w to święcie; wierzyli i słuchający, boć gazda zawsze prawdę mówił, nigdy się nie pomylił, mając dar szczerego słowa prawdy, jako szczerzy i wierny syn tej ziemi. — — —

I oto w przeddzień wilji, śpiewał gazda od wczesnego ranka. Nucił pieśń po pieśni, wyglądając, czy nie idzie dziaduś z opłatkami? — Śnieg sypał, mróz zato, zdawało się, iż zelżał, gdy w istocie parzył i prażył, stokroć silniej, aniżeli przedtem, a śnieg, że leciał, to wicher unosił płatki z drzew, bo dał silnie, strzepując okiście z gałęzi, niby listki białe, lub pióra ptasie dokoła...

Gazda nie wątpił, lecz ufał, że przecież tęda opłatki, bo jakżeby Pan Jezus nie dał 'u-

dziom w tym dniu Swojego Narodzenia, stra vy anielskiej, w Jakiej On się jawi we mszy świętej, jaką znów w postaci Swego Ciała, rozłaje hojnie każdemu, gdy wyzna grzechy, a jako ten bogacz idzie do Pana Jezusa, po żywota chlebuś wieczny...

A tu cisza nagle nastąpiła! — — —

Gazda wyszedł i patrzy, jak od lasu, od strony Kubalonki, idzie Dziad... Ale taki, jakby był młodym i wcale nie zważał na zimę, która daje się we znaki, bodaj, że najstraszniej w życiu. — — —

Bo poczuł, że mróz sierzysty, a, aby iść, jak ten Dziad, trzeba mieć wielką siłę i sporo ciepła w sobie, jakiego temu wiekowi brak zazwyczaj...

Dziaduś szedł nawprost jego domu, jakby do niego było mu najpilniej we wsi... Zdziwiony gazda, że tak szybko stąpa, leci wprost, nie mówił już ni słowa, choć czuł radość niepomierzną, iż mu się z niej krzyczeć chciało... W milczeniu czekał! — — —

Jakby na gościa z najdalszych stron, który wiezie skarby najdroższe, którego witać ze czcią i milczeniem należy, boć jest posłańcem najserdeczniejszym...

Kiedy cały wzrokiem i słuchem, mimo zimna, tkwił w postaci nadchodzącej, stanął dziaduś, nieznamy zupełnie, chociaż w myślach gdzieś go Marekwica oglądał, niosący w koszach opłatki bielusińkie.

Rozwarł gazda drzwi naościę, prosząc Dziada ukłonem do siebie, jakby króla, lub też

człowieka niebyle jakiego... Już chciał wołać na żonę, służbę, dzieci, ale, coś mu w gardle zdławiło głos, tedy ukląkł z radości, gdy wtem sypią się opłatki... a taka ich moc, że gazda, ledwie nastarczy, by pozbierać, by je ułożyć na ławkach, stole, wszędzie, bo końca niema, tak lecą, jakby z niebios, a nie z rąk Dziada... Wtem: — Dziad znika!

Nie mógł wprost gazda uwierzyć... drzwi zaparł, a już oknem nie wyszedł... Aha! musiał to być... Sam Pan Jezus; przypomniało się gąździe, że podobniuteńką twarz widział... na obrazie w kościele cieszyńskim...

Ukląkł gazda, modląc się i dziękując za opłatki, które roznieśli pachołcy po całej wsi, każdemu... Dziwili się ludzie, skąd je wziął jedyny gazda, gdyż żaden nie zobaczył ani dziada, ani chłopca, któryby je przyniósł...

Marekwicę czcili odtąd, jakby wspólnego Rodzica, którego ród w Istebnej nie zginie, bo jest najszczęśliwszym we wsi, doznawszy łaski Samego Pana Jezusa!

---

Długo opowiadano sobie o tych opłatkach w Istebnej, długo żyła pamięć cudu, w jaki wierzyli górale Istebniańscy, w Jasnowicach, a stąd na całą okolicę, i samym Cieszynie, opowiadano o zjawisku tem w Istebnej! A już, kto zobaczył Marekwicę, z czcią nań patrzył, jako w tego, który na własne oczy ludzkie, widział Chrystusa, lubo w szacie dziada z opłatkami, ale dobrego i tak zawsze pamiętającego o Swojej Istebnej, gdzie często przedstawiano sobie

postać Pana Jezusa w tej postaci: dziada, nio-  
sącego opłatki do wsi...

I znalazł się malarz, który to wymalował  
dla kościoła w Jabłonkowie, gdzie obraz Chry-  
stusa z opłatkami zasłynął cudami... Lecz  
zniknął z kościoła w dziwny sposób. — — —

---

DWIE WISEŁKI-RUSAŁKI,  
CZARNA I BIAŁA.

(Śląska fantazja u wodospadów Wisły, u jej źródeł na Baraniej i na dalszych stokach w wieńcu gór i skał, girland wzorzystych.)

Najukochańszemu Synowi, Kaziowi  
napisałem.





Mówią ludzie, że te wodospady grają... Że tony się dobywają, ilekroć ktoś przyjdzie nocną porą, słuchać tej melodji wodospadowej, w poprzek muzyki, dalekich ech śpiewów... Więc też był i poeta, który ukochał te wodospady, który lgnął ku nim sercem, a oczy i uszy zmieniał w jedno z nimi, zapatrzony, zasłuchany, dumal... Całemi nocami letniej pory, gdy tam można sobie obcować z górami, kiedy do szalasów niedaleko, na mleko, czy serki, a kiedy wodospady tętnią mową rusalek, wraz z ich dwoma na czele: „Białą“ i „Czarną“. — Chciał się dowiedzieć o czem one mówią, o czem śpiewają, aby kiedyś ludziom opowiedzieć, gdy chętni i... poetów słuchają! Bo był poetą z duszy i serca, a wielkim miłośnikiem ludzi, iż nie ma komu innemu, a im tylko, radby koić serca, mową rusalek, które zapewne, że nie o niczem innem, jak o szczęściu ludzi mówią... A tedy czekał cierpliwie, aż ich mowę usłyszy...

Jeżeli zaś dozna tego szczęścia, nie schowa go w tajemnicy, bo poetą był i serdeczny, n bratem ludzi, nie gubiącym tajemnic o szczęściu jeno we własnej studni, ale rzucając chętnie te skarby do innych serc, które łakną mowy i wiary w szczęście, gdy je szepcą słowa duszy, do dusz skierowane, niby muzyka i mowa rusalek...

Rusalki bowiem wiedzą o szczęściu napewno! A już te, które od wieków się chowają

w nurtach i w jarach fal wiślanej wody, chyba znają i dla wieków szczęście, o jakim mówić ludziom, to tyle, coby je im nieść oburącz, by mieli je w czasach, gdy go im brak, kiedy trapią ich dole na pagórkach leż i tych męczarni, a z których nie zejda w krainę rusalek... bo i drogi tam nie znają..., wierząc, iż tylko poeci do tych ludzi należą, których nie zniechęca, ni droga, ni czas stracony, by spotkać się z rusalkami... Poeta ten udał się w wierze, że znajdzie, że usłyszy i sam może porozmawia z rusalkami... Wszak, jeżeli inni słyszą, czemużby i on nie doznał tej mowy uczucia, a gdy słyszeć będzie i mówić mu wolno, choćby ze światem czarownych okolic, gdzie nie ludzie, ale rusałczane głosy dają się usłyszeć... Więc czekał... cudu, na jaki czeka się w chwili miary wieczności, że przeżywamy okresy bodaj lat tysięcy, nie pomni, iż te, jak i wieczność, są... chwilami; bez nich nie byłoby wieczności... Tylko tę właśnie chwilę spotkać, przeżyć, w tę uderzyć myślą i sercem... O! wielu pragnie, a gdyby wiedzieli, że przy wodospadach Wisły ją znajdują, doznają jej czaru osobliwego, pewnieby tam w pątnicznych drogach szli corocznie, by tych chwil dostąpić jak najwięcej, by czuć, że najdłużej żyją, iż mogli się kumać, bratać z wiecznością...

Rusalki bowiem dają te złudzeń chwile. One tak wieczne, tak są przepojone tym blaskiem i odblaskiem zaświatów, że mogą nocy płomienie w tej wieczności przemienić, a i człowiekowi w oczy dać ich bezmiar, czy bezlik

radosny... Wiedział o tem poeta, a aby się i ludzie dowiedzieli, rymami im obwieszczał, że każdy na Śląsku już... sobie spamiętał o tych rusałkach jego opowieść... Ale ze Śląska, trzebaby ją i w Polsce opowiedzieć.

Więc wam ją opowiada:

Szedł już tą samą drogą raz bodaj setny, wie, że setki są tylko zerami i jedynkami... Udeptał drogę własnymi stopami! Nie niszczył kwiatów, ni jednej gałązki, a wszystkie paki, czy liście, kamyczki, świeciły dlań nocą, by płomyczki, że nie czuł w nocy drogi bez końca, ale, jakby w słońca blaskach, uderzał stopami o skały, że płomieniały, widniały z dali, zaś na wód fali, skrzyły się... oczy! W głębinie, w przeźroczy! Oczy rusałek... rado-sne! — — —

Szedł coraz dalej! jakby na szczęściu drodze dalekiej, wiekami znaczone były ślady, a wodospady, które tętniły mową tajemną, ukazywały tęcz zórz płomienną, dal coraz to dalszą... Rusałek schrony, jednej Białej, drugiej Czarnej, pałace w mrokach i blaskach naprzemian się złudnie mieniające... Lecz on je widział! — — —

Stąpała pierwsza, jakby przed drugą, by nieść tajemnic najpierw tysiące, nim drugich, rwące, przyniosą fale, nim zniknie bez śladu, na drodze perlistej wodospadu...

Ukląkł więc zbożnie, jakby w świątyni. Ślub czyni: - wszystkie wam słowa powtórzę... Wówczas się leją złociste krople, sypiąc pereł krocie na wodnej toni... Rwą w głębi burze,

w strasznym łoskocie, a niebo się nisko wówczas kloni...

Wtem cisza... Rusalka mówić poczyna: — ludzi mowa zwrzyta, to znów się pieni! Jeden przeklina, drugi się mieni w szczerego, gdy tylko o... szczęście pyta... Aliści niebawem zapomina, złorzeczy i znów przeklina... Niechby tej mowy ludzie zapomnieli, kochali się jeno i władnęli szczęściem serc drugich, jako i swoim, obwieścić im trzeba słowem mojem. Żyliby w zdrowiu, w pracy i święcie, w godach żywota... mów im te słowa, aby ochota ich ciągle społem garnęła, niech żyją, oby ta ziemia słyneła miłością, braterstwem i wielkością, czerstwem owocem, pól i lasów wokoło... Ty im zaśpiewasz, powtórzysz wesoła! — — pieśń moją wesoła, wesoła...

I fale znów drgnęły, potem w łoskocie, że zdały się tłumić kroki rusalki... W szamocie drzew pędził faun dziki, kruszył gałęzie, jakby chrząstem dłoni, a kiedy róg swój uroni, spadnie na fale, nurzy się w głębinie, już nie wypłynie. — — —

Cisza nastąpiła... Z czarnej gdzieś fali wypłyne z dali, czarna rusalka-Wisełka... Trzyma liść, gałązkę całą... oliwną, małą... Mówi tak, jakby posłannik pokoju...

— Słysz! Kedy Wisła płynie nurtem rzeki, tam daleki, daleki świat twego narodu... Niech wiedzą, że tylko wtedy ich nie opuszczę, gdy mi przysięgną zgodę i pokój... Brzegów nie puszczę, ale niech nad nimi władną w pokoju, zgodzie i pracy, niech ich jednoczy siła

i wola, a wówczas siejba bogate ich pola, łąki kwiatami, lasy drzewami, a i rzek nurty obfite, będą jak ongi pasy ich lite, złociste, a serca... czyste, pokój i zgodę, pracę miłujące, władać im będzie tylko: słońce!... I ziemi czary ukonają ich snami, a tak wiekami żyć będą znów ze mną... Rusałką-Wisełką... ciemną... czy Czarną, bo różnie mnie zwają swą mową gwarną! — — —

---

A kiedy zniknęła i druga, jęknęły fale tonami, a śpiewy dały się słyszeć, jakby różnorakie melodje, jakie znał od kołysanek, po te kościelne, modlitewne, od skocznych, po te poważne, od kantyczkowych, kołęd czy innych, po różne pienia wzniosłe, jakie spisali mistrze, tak, że chór ten zdał się o wiekach śpiewać, jakimś wieków hymnem... Ach! to polska pieśń o Wiśle, czy może wiślane nurty zachowały pieśni wszystkie polskie, by je powtarzać w nocie ciche, w nocie jasne, kiedy zamilknie rusałek mowa... A może to hymny na cześć tych: Białej i Czarnej Pani-Wiselek... że raczyły przemówić, objawić głosem swą wolę. Więc odszedł, by gędzić, by powtórzyć ich słowa, aby ludzie wierzyli w dwie rusałki, jakie widziały Oczy Poety, przy wodospadach Białej i Czarnej Wisełki. — — —

---



W DOLINIE OLZY U STAREGO  
GAJDOSZA.





Miał zagrać na ostatek na weselu Pawła Kubaloka z urodziwą Jadwigą Legierską... Sędziwy gajdosz, Jura Juroszek... Liczył z jakie osiemdziesiąt lat, a może i więcej, bo nikt nie wiedział we wsi, kiedy się urodził...

Był najstarszym, a już tak krzepki i tak „ruchawy“, że ludzie mówili: „Jura, choć wiekowy, zawsze młody, jakby żyć miał wiecznie“.

Mieszkał w dolinie Olzy, w chacie, której też ludzie nasjtarsi niepamiętali, kiedy ją postawili... Stała też sobie, niby ta chatynka, zimą w śniegu, latem w zieleni... Biała, że ledwie czub dachu i stary kozubek pokazywała, za to w lecie widać ją było z daleka, niby pałac z czarowany, boć stary dom, ale w pełni kunsztu, w jakim stawiają na Śląsku domy, zdobione je „dźwierzami“ (drzwiami), bogatemi w rzeźby, okna, też z fryzami, a już ganek dokoła i dach z kozubkiem, obok rysiów, które niby głowy wilcze, sterczały sobie swobodnie, stworzyły wcale piękną architekturę tego odwiecznego domu gajdosza... Ano mieszkał tam artysta, muzyk, który równie dobrze czarował skrzypcami gajdami, jak i rzeźbą, boć był niegorszym rzeźbiarzem... Wyuczył tej sztuki wielu we wsi, a taki Żebro, czy Mucha, szczycą się, że ich Juroszek wyuczył „rzezać“ w drzewie, a i Wałach, choć podobno w szkołach się później douczył, przecie u Juroszka nabył tej sztuki, jaką teraz okazuje w licznych kapliczkach, rzeźbiąc Pana Jezusa, czy Najświętszą Pannę z Dzieciątkiem.

kiem, jakby żywemi były postaciami, a tylko wysoko, na słupie, czy na kamiennym cokole, przecież mówią, że ... drewniane, boby żywe ... spadły lada chwila ...

Tylko na gajdach nie wyuczył nikogo ... Tej sztuki, jakby świętej, nie zdradził przed nikim, a choć był już ostatnim, który grał na gajdach w Istebnej, Jasnowicach, Wiśle, Koniakowie, toż szczyił się, czy raczej radował, nie pomny, iż kto będzie po nim grywał na weselach, czy uroczystościach innych ...

— Ano! grać będą lasy, łąki i hale ... grać będą niebne dale, te pieśni moje, wyśnione, te pieśni śląskie, zmyślane. — — —

I tak też czuł, że ... koniec tej gry jego, gdy będzie trzeba już tylko zostawić gajdy, albo je zanieść Panu Jezusowi i w Bożenarodzenie zagrać wraz z aniołami, którzy dopuszczą czasem człowieka, kiedy ich za życia czcił i kochał, a Jura, jako że był bardzo pobożny, chyba się tam dostanie ... Miał też i gajdy ... poświęcane, bo kiedy grał przed księdzem Biskupem, a ten, zachwycony jego grą, spytał się, coby sobie życzył, a on mu uczyni ...

— Możebyście ta poświęcili moje gajdy, aby nie zepsowały się, bo już stare, a takich już nie zrobią tutaj, bo nie umieją! — — —

I Biskup poświęcił, a już grał potem Jura, że się dziwili Panowie z Cieszyna; a i z daleka, skąd przybyli, jak można tak „czarująco“ grać na takim instrumencie ... Chyba ten gajdosz, to ... czarownik, ale, jakżeby prosił o poświęcenie, gdyby nim był?! — — —

Zresztą ksiądz oświadczył: — Gajdosz, co niedzielę modli się przykładnie, nawet zimą, kiedy zaspły i śnieżyce straszne, chodzi do kościoła, bo... prawowity to katolik i wielki wielbiciel Matki Boskiej. —

Gajdosz istotnie, ilekroć wypadło święto Najświętszej Pani, grał na gajdach w domu, przyspiewując wszystkie pieśni, wtórem czytego głosu, jaki też posiadał, ten wielki artysta z Bożej łaski, a mieszkający, niby pustelnik w dolinie Olzy, gdzie chyba zaszedł pielgrzym albo zgoła „wędrownik“, gdyż musiał każdy zbozczyć, aby tam wstąpić, z głównej drogi, co i uchodziło za złą wróżbę... Ale, jak tu nie posłuchać gajdosza? Kiedy muzyka jego, niby głos niebiański, tak przyciągała wszystkich, że poprostu zniewalała, aby słuchali, słuchali jej tonów...

I na to wesele prosili go, bo wiedzieli, że jak: „Jura utnie, zagra, to wesele dobrze się uda, a już wszyscy się rozwesela, a przypomnia sobie te czasy dawne, jakie każdy chętniej wspomina, gdyż i mu się wydaje, że drzewiej lepiej bywało“...

A stary gajdosz, choć nie opowiadał słowami, to muzyką tak te czasy przypominał, iż wszyscy, nietylko, że słuchali, ale jeszcze go namawiali, aby im „jeszcze“ to i owo przypominał...

Każdy miał bowiem w duszy melodię, którą uspiło życie udrek i walki o jutro, a kiedy gajdosz ją „obudził“, niby ze snu lat, odmłodził człowieka, że rad sięgał pamięcią po ten świat

zaczarowany w myślach, świat lepszej — jak wszędy i zawsze, przeszłości! — — —

Na weselu zaś takiej melodji koniecznie ludziskom potrzeba... Kiedy indziej, to mogą sobie przypomnieć, ale zaraz zapominają... na weselu każdy chce się weselić, a tu „ciężkie czasy“, więc i weselić się trzeba... przy muzyce, która tak silnie uderza w akordy przeszłości! — — —

Gajdosz je znał najlepiej! Choć nie uczony, nie pasowany na wielkiego, był wielkim, urodzonym artystą, który znał tę tajemnicę sztuki, a muzyki, jakiej iście czarujące tony wydobywał, by ludziska słuchali, radowali się, a zapominali, co ich gnębi, co ich trapi, gdyż muzyka to potrafi, że tak znieczula, a już rozwesela, jakby kapela anielska na ziemi... Gajdosz Jura Juroszek znał tę sztukę osobliwą, toteż osobliwie na weselu ją wydobywał, jakby był królem, a wszystkich darzył złotem, ile tylko pragnęli, ze swoich gajd, które posiadały złote tony muzyki królewskiej! — — —

Kiedy się obrzęd skończył, a z kościoła wyszło tłumnie ludzi sporo, wszyscy szli ku karczmi, aby tam „wesela“ doznać w rozkoszy, zabawie, przy puharze i rozgwarze, jaki zaplanował, jakby w ulu... Gajdosz tam już siedział. W otoczeniu starych gajdów, którzy się go pytali o pogodę, albo o urodzaje, bo wierzyli, że kiedy Jura przepowie, spełni się, jakby w kalendarzu było napisane... — „Przepowiedział latoś urodzaj — mówiono raz — toteż było tyle, iż każdy przetrwał przednowek, a jeszcze mu

na zasiew zostało, że i drugiego, biedniejszego obdarował“. — — —

— Gajdoszu, czy ta będzie ostra zima? — spytał stary Marekwica, choć i sam nieźle prorokował...

— Popatrzcie gazdo w lesie, czy kora miękka, czy twarda... Tam napisane, jaka zima będzie! Pan Bóg wszędzie ludziom pisze swoje wyroki, a tylko ludzie wołają książki, aniżeli to pismo Boże! — — —

I Marekwica, wracając, leci do lasku, puka w korę... Twarda, że jej ani siekierką dociąć nie można... Była też zima, że się wielu dała we znaki, setna i twarda, jak ta kora w lesie, na drzewach...

Teraz obdzilił wróżbami Juroszek wszystkich, a kiedy kapela dość się zmęczyła, on — zaczął grać na ostatek, jak zazwyczaj! — — —

Tony ciche, jakby przeszłość wskrzeszały z grobów, śniącą wiekami, aby tak cicho, iż starczy parę akordów, a zbudzi się, niby ten rycerz, któremu jednej melodji potrzeba, a już powstanie ze snu, by stoczyć bój zwycięski... Wszyscy też ucichli, że aż mrowie przeszło... Ale nikt nie ważył się zamącić ciszy! — A tu już grać zaczął huczniej Jura... Wesele, ano wesele! i takich było już wiele... Każde huczne, buńczuczne, bo śląski człowiek ma naturę taką... Wtem gajdosz, niby szuimem — opowiada o bujnych urodzajach, o pełnych stodołach, o stadach owiec, bydła... Wszystko to raduje dusze weselników, wspominających sobie, gdy to setkami gnali owieczek na Baranią,

kiedy młócili po sto korcy zboża, a już ziemniaków nie było gdzie zakopać, bo trzeba było na nie takich kpców, jakby tam się ukryć miała wieś cała... O tym urodzaju wygrał Jura pieśń radosną, długą... Wtem zniżył tony, uderzał od niechcienia, jakby go dławili łożami, jakby miał nimi przypomnieć zgoła „gorzkie żale śląskie“, kiedy to po ich śpiewaniu dusza płacze, a każdy schyla głowę, niby przed strachem... Bo raz w post... nawiedził mór i powietrze straszliwe okolicę... Marli ludzie, niedobrywszy nieraz tchu, gdyż wszystkim grdyki wiązało i dławiło, jakoweś nieszczęsne chorobsko... Ale to była kara i dopust Boży! — — A kiedy przeszło, kiedy minęło... mój Boże, może przed stu laty... wróciło zdrowie, dostatek... Ludzie zapomnieli, a już tylko pamiętają z gazet, lub z książek, ile który czytać potrafi... Gajdosz przypomniał! Jakby przeżył — a może był małym i na własne oczy widział, że tak wygrał cudownie o tym morze, zarazie i koście śmierci straszliwej... Huknął wnet w tony inne! Tony, które znał każdy, a nucił sobie cicho melodją, tożto pieśń polska, śląska... o Olzie! On ją znał tutaj jedyny! O tej rzeczce, która opuściła Wisłę, aby Śląska nie opuścić przენigdy: — „Niech Wisła do Polan sobie na równinę płynie, gdy Olza w górach zasłynie! Niech Wisłę unosi bieg hyży, daleki, gdy Olza kocha sosny i smereki... Niech Wisła toczy fale w Polski dale, a Olza na Śląsku wyśpiewa swe żale...“

Wszyscy słuchali! — — —

Jakby pieśni fal rzeki ukochanej...

Nie nadaremnie gajdosz Jura, mieszkał tyle lat nad Olzą, że tak wyczuł każdy plusk śląskiej rzeki, płynącej, jakby krwią śląską, jakby w nurtach jej serca polsko-śląskie biły, a tylko wygrać tę pieśń, by każdy się poczuł Synem Olzy i Śląska, odwiecznym na tej ziemi...

A kiedy grać skończył, każdy, rozpromieniony od tej muzyki, od tego słuchania, nabierał wiary i tchu do tańca, jakby miał zmóc się ze życiem, czy wrogiem tej ziemi, tej doli śląskiej.

Każdemu się zdało, że nie w karczmie, nie na weselu, ale w izbie, u starego gajdosza, nad Olzą, siedzi sobie, jak on, spokojnie, przeżywszy taki wiekowy czas życia, aby żyć jeszcze, jak ten gajdosz Juroszek, chyba wieki całe... Bo, kiedy go braknie, zostaną w uszach gajdów tony, czyli jego życie, życie gajdosza, który na śląskiej ziemi pieśni niesie, choćby we wtórze lasów, łąk, pól, czy szumu Olzy, kiedy go żywego zabraknie wśród ludzi, ale ostanie on, żywy muzyką tej nieśmiertelnej kapeli śląskiej, tej muzyki, jaką wszyscy czują, ilekroć wspomną Jurę Juroszka, gajdosza z nad brzegów Olzy. — — —

On nie umarł wcale! Bo widzą go w noc jasną, jak siedzi przed domem nad Olzą, jak gra, jak wciąż gra... Pieśni, które od wieków dla wieków zostaną w ziemi śląskiej, choćby na dnie Olzy wraz z jej korytem cudnie lśniącem w toni, czy tej grze tej grze tęczącej odbłasków słonecznych dali, górskiej, płynącej zachodem przestrzeni, dali wiecznie śląskiej ziemi pot-

skiej! — — — Jura Juroszek, stary gajdosz żyje! On nie pójdzie stąd, choćby mu dąb z walił chałupę lub pożar ją zniszczył, nie ustąpi ani krokiem... A jego gajdy, poświęcone, uświęcone grają i w niebie tę pieśń z nad Olzy, grają wiecznie, nieśmiertelną pieśń śląskiej ziemi o Olzie. — — —

---



MIŁOŚĆ ZBÓJECKIEGO SOKOŁA,  
ONDRASZKA . . .

(Opowieść z Janowic, na Śląsku Cieszyńskim, o wielkim  
zbójcu śląskim.)



Wyrósł Ondraszek na dziarskiego junaka. Siłę miał, niby ten mocarz-tytan, a odwagę, chyba rycerza bez trwogi, który ongi nie wahał się sam jeden walczyć z siłą ludzi, którzy na lwa rzucali się nadaremnie...

Nie chciał tedy usiedzieć ni w domu, ani też w ojcowej chacie, gdzie mu brakło przestrzeni, gdzie nie mógł hulać, ni też szaleć i szumieć pełnią junackiej młodości... Kochały się w nim dziewczki, szukały go wszędzie, bo Ondraszek nosił piękną głowę, niby grecki bożek, a już oczy miał, jakby go zdradzały, że w nim żyje ochota i brąwura, któreto zalety czynią z młodzieńca, jak z krasawicy, bohatera, pieśni, poezji, jakoże w ten sposób można go uszczęśliwić, lubo życie nie dało mu wcale lauru, ni też sławy dobrej... I śpiewały dziewczki, gdy znikł z przed oczu Ondraszek:

Gdzie jest twoja głowa  
Pięknie, kędzierzawa...  
Gdzie twe włosy śliczne,  
Rumiane oblicze...  
Usta koraliczne! — — —

Oczy, jako strzały,  
Ręce jako skały,  
Nogi twoje silne,  
W ucieczce niemyłne,  
Gdzie się podziały — — —

Oj! oj! oj! gdzież Ondraszek miły? —

Goniła za nim pieśni nuta, jako ten ptak rajski, nadaremnie...

Przystal ci Ondraszek na służbę do hrabi na Frydku... I myślał, że będzie mu dobrze... Gdyby nie oczy, gdyby nie ta postawa junaka pięknego... Pani zamku, kiedy zobaczyła Ondraszka, jako i te dziewczki w gospodzie, czy we wsi, zakochała się w nim, nie mogąc teraz oczu odwrócić, bo wszędzie ją prześladowały, jak strzały, godziły w samo serce, oczy Ondraszkowe...

Więc przemyśliwała piękna pani, jakby tu sprowadzić Ondraszka, jakby przed mężem, by nie dostrzegł, nie zapalał gniewem... Ondraszek, lubo wiedział, iż pan zamku mu nie podaruje, wcale nie bał się, nie lękał, bo ostatecznie i on pokochał hrabinę... Co wieczór myślał, jakby się dostać do komnaty — jakby nieopstrzeżenie zakraść się, gdzie go czekają objęcia ale i niebezpieczeństwo, z którego drwił sobie szalony junak, wiedząc, że z kim młodość, z tym i życie, z tym i triumf, choćby poprzez bramy piekielnych udręk lub strasznych katuszy...

Pragnął tej „nocy sabatu“, jaką przeżywa każdy raz w życiu.

Jestto jedyna noc... Składa się na nią długie nieraz życie, a czasem darzy szczęśliwszych u progu życia, by potem w korowodzie nieowodzeń, mieli jej obraz przed oczyma... Junak Ondraszek, niby na tę noc szczęścia, „sabatu“, przygotowywał się, czując, że ziści jego pragnienie, ale też, że okupi... to straszną katuszą. Wszak nie wątpił w zemstę hrabiego, który im nie podaruje takiej „nocy sabatu“... Czekał pory!

Razu pewnego, kiedy szalał wichur straszny, a wśród świstu, głuchły stapania po brukach dziedzińca zamkowego — zaniósł Ondraszek długą drabinę, ustawiając ją podle okna, gdzie była komnata hrabiny. Ubrany odświeżnie, wspiał się w górę i dotarł do okiennic... Były niezamknięte! Więc otworzył je cicho, zresztą wśród wichru bez szelestu i wskoczył zwinnym skokiem, znalazłszy się odrazu w komnacie.

Hrabina, leżąc w półśnie, drgnęła...

— Toś ty, Ondra? ... jakżeś się dostał przez okno? — spytała.

— Kiedy trzeba, to i możność się znajdzie... Do Pani jakbym i przez mur się przedostał...

— rzekł wcale spokojnie.

Stanął w okazałej postawie, niby królewicz z bajki, że dźwignęła się hrabina, by nie stracić z oczu młodzieńca, lubo lęk i przerażenie ięto ją trzęść, niby w febrze straszliwej...

— Uspokój się Pani, wszak nie przyszedłem jej straszyć swoim widokiem... — ucałował ją z galanterją rycerską w obydwie ręce, ukłękawszy przed łóżkiem.

Wicher szalał, rwąc coraz silniej w szarpaniach i szamotaniach kawały starej blachy z dachu, czy tu i ówdzie uderzając źle domkniętymi wrotami, by echem straszyć w ciszy pogrożony zamek i we śnie późnej godziny nocnej.

Hrabina się istotnie uspokoiła, a mając tuż koło siebie ukochanego młodziana, głaskała jego włosy krucze, to znów bawiła się guzami u kamizelki, spięciami u szyji, rozkoszując się, by dziecicę, kiedy upragnioną zabawkę otrzyma

niespodziewanie... Nie wiedząc, czem to okupuje, czy okupi w przyszłości...

Z furją i szaloną mocą uderzył wicher o okiennice, jakich nie zamknął dobrze Ondraszek... Rozwarły się i wyrwane, runęły, zostawiając otwór okna naościż rozwarty.

Powstał Ondraszek, aby się przypatrzeć oknem, aby je może jeszcze przed czasem, zamknąć, gdy już nie było okiennic, a i drabina usunęła się znacznie, że nie było mowy o wyśściu powrotnem tą samą drogą! — — —

Przerażona hrabina zerwała się z łóżka, a Ondraszek ją uspokajać, okrywając pocałunkami ręce, a potem objawszy, zaniósł ją do łóżka, zaś okrył okno, względnie kotary spiał, aby z zewnątrz nie mógł się wicher przedostać. Kiedy ukończył pracę, znów w pozie klęczacej, opowiadał hrabinie, jak to w podobną noc czarownice ucztują, jak się zabawiają z czartami... Wtem jedna przynosi głowę ściętą i radość niesłychana, bo wówczas zagładają w ślepią głowy i tak, jakby w lustro baby, cieszą się czarownice, gdy mogą takie mieć zwierciadło... Hrabina słuchała, a więcej jeszcze radowała, że przy niej Ondraszek...

Wtem dały się słyszeć kroki! Ondraszek powstał, a schwyciwszy miecz, jaki wisiał na ścianie, gotów był każdego nim ściąć, ktoby się zbliżył w tej chwili. Jęła wtem hrabina: — „Nie czyń, nie zabijaj!“ — — — Upuścił miecz, stojąc niemo przy łóżku...

Rozwarte drzwi, a w nich stał hrabia, wlepiwszy oczy w Ondraszka! — — — Hrabia na

Frydku odrazu objął wzrokiem położenie, cofnął się i jał wrzeszczyć na służbę... Przerażona hrabina, zrazu tuląc się do Ondraszka, odpchnęła go, krzyząc: — „Uciekaj, bo zginiesz!”

Lecz Ondraszek stał, nie ruszywszy się z miejsca.

Wpadło kilku ze służby. Ale, kiedy się zbliżyli do Ondraszka, jednego rzucił o ziemię, drugiego kopnięciem powalił w ką, a trzeci, czwarty i piąty jęczeli od razów jego pięści, wyjął z bólu... Hrabia darł się, że zbudzili się niemal wszyscy, lecąc na pomoc...

I gdyby nie żyłaste dłonie młodego masztalerza, chłopą tęgiego i równie zwinnego, nie byłby Ondraszek leżał na ziemi, teraz związany, dokoła powalonych przez siebie parobków i służby wogóle, która jęczała, lub wydawała przedśmiertne harczenia, zduszona, lub zmiażdżona przez Ondraszka, leżącego w pętach, dzięki mocarnej ręce i sile równej Ondraszskowi, masztalerza...

Hrabinę wyniesiono, zaś hrabia pałał zemstą, by się nasycić nią, a ukarać śmiałka najstrożej, jak tylko było można.

Wyniesiono i Ondraszka. Hrabia kazał go przywiązać w lesie do słupa, a tam kleszczami wydzierano mu po kawałku mięsa. Skowytał z bólu, aż i oprawcy zmęczeni, myśląc, gdy Ondraszek zaniemógł i przestał jęczeć, iż już ducha wyzionął, więc zostawili go, otrzymawszy z powrotem hojną nagrodę od hrabiego...

Tak doczekał nocy Ondraszek! W ciszy,

kiedy ból ustąpił, poczuł chęć rozdarcia węzłów. Ież jeszcze ich nie był w stanie rozedrzeć.

Nagle posłyszał kroki. Szelest, a potem łamanie gałęzi... Świtało, czy się zdawało Ondraszkowi, że gdzieś przedzierają się promienie jaśni dalekiej... Ktoś mu więzy zaczął przecinać... Czuł, że i bólu srogiego siła mniejsza, a by być wolnym, zdoła stąd umknąć daleko, daleko... Wolne ręce, więc mógł sam teraz rozedrzeć pęty dokoła nóg, a stanawszy koło kłody, przed którą zamajaczyła jakaś postać, nie ruszył się z miejsca... Nie chciał oczom wierzyć... Dziewka ze wsi Janowic, skąd pochodził Ondraszek, tutaj się znalazła, aby go uwolnić...

Nie umiał sobie wytłumaczyć, a tylko spał, że go nieraz czule obejmowała, zaś w tańcu, szeptała miłosne zaklęcia...

Mimo razów, mimo upływu krwi i ran świeżych, czuł nową siłę, jakby dawno cierpiał... Ruszył tedy, oglądając się, gdzie dziewczka z Janowic, ale już jej nie zobaczył...

Szedł lasami długo, aż natknął na ludzi przy ognisku... Zbójnicy to byli! Ondraszek przyszedł, a ludzie widząc go, jako że znali i poznali junaka-sokoła, ugościli, a kiedy się z ran wyliczył, okrzyczeli go odrazu wodzem bandy...

---

I odtąd drżały lasy graniczne, śląskie, bo Ondraszek, niby ten zwierz wraz z drużyną, rękał zimą, latem, czy inną porą wszystkich, okrom górali, którym nic złego nie uczynił. A zawsze mu towarzyszyła owa dziewczka, któ-



rej wclność zawdzięczał. Była dla niego widmem, to znów prawdziwa opiekunka, kiedy nieraz ranny, leżał w grocie..., a ona ziołami i różnymi lekami do zdrowia go przyprowadzała...

Zwali ją „Ondraszkową“, a każdy miał — jak i dla junaka-wodza — szacunek dla niej, nie uczyniwszy nigdy nic złego... Zamek hrabiego na Frydku w dwa lata później banda Ondraszka spaliła i wymordowała wszystkich, nie włączając i hrabiny, którą wbrew jego woli, za mordował dziki Juroszek, zwany odtąd Juchą.

Ilu zaś żydów, strażników, czy żandarmów zginęło, trudnoby zliczyć; raz cały oddział wojska zniosła banda Ondraszka, że nie został ani jeden przy życiu...

Wkońcu, kiedy Jucha zaczął zazdrościć sławy Ondraszкови, a kiedy rząd wyznaczył nań sowita nagrodę, zdradził go Jucha na weselu, oddając... martwego w ręce wojska, otrzymując istotnie 300 srebrnych monet. Kiedy Jucha z pieniędzmi chciał się przedostać do Węgier, napadli go wielbiciele Ondraszka, zrabowali mu pieniądze, a samego w okrutny sposób w kawałki porabali. I wójt zginął również w drodze do Janowic, ugodzony toporkiem zniecka.

O Ondraszku pozostały pieśni, jakie dotąd lud nuci na Śląsku. — — —





INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63







F

4011